ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej i wiadomościom literackim.

Rok VIII. Warszawa, dnia 16 grudnia 1916 roku. № 51.

WOJENNYM SZLAKIEM.

(WRAŻENIA Z PODRÓŻY).

3

Siedzę dni kilka w Sztokholmie. Pływam po kanałach, rozkoszuję się cudownym „Skanzen", muzeum ludoznawczem, rozłożonem w przewspaniałym parku. Stopniowo coraz nowych odnajduję ludzi. Więc przedewszystkiem hr. Julię Ledóchowską. Ta nie do carskiej łaski, ani koalicyjnych macherów politycznych kołacze. Miłość Polski zaszczepia ona w sercach skandynawskich ludów. Jest wszędzie i wszędzie apeluje do instynktów sprawiedliwości istotnej, żyjącej w ludzkich niespodlonych masach. A właśnie społeczeństwa skandynawskie są takie. Zimne z pozoru, umieją czuć i rozumieją wiele. To też ilekroć ukaże się ta widmowa prawie, półziemna w ekstazie swej, słodka postać — tyle razy słuchają słów gorących o kraju, dalekim a nieszczęsnym i wzdychającym do wolności z przejęciem. Hr. Ledóchowska rozwija akcyę filantropijną przedewszystkiem, lecz prowadzi ją z taką godnością, siłą, tak podniośle, iż zdobywa dla ojczyzny swej coś więcej, niźli ofiary pieniężne—zdobywa dla niej szacunek i sympatyę. To zaś z działaczów polskich umieją nie wszyscy.

Dobra robota polityczna polska w Skandynawii jest dopiero w zaczątku, lecz mając na uwadze, iż we właściwych znalazła się rękach, obiecuje realne korzyści. Gdzież bardziej, jak w Sztokholmie, potrafią nas zrozumieć? Gdzie łatwiej pojmą, czego chcemy, i uznają w ziszczeniu pragnień naszych nawet interes własny.— Nienawiść do Rosyi tak tu żywa. Wszak stoi na najpiękniejszym, ukwieconym placu sztokholmskim pomnik. — To dumnie, mocno wsparty na mieczu spogląda z troską na swój wierny lud król-bohater, Karol XII. I władczym ruchem wyciąga dłoń z gestem nakazu, wskazując het, na Wschód. — Tam wróg wasz wieczny, stamtąd grożą wam niebezpieczeństwa wszystkie, czuwajcie więc — zda się mówić wielki ów władca-wódz. I jego idea polityczna żyje. Szwed całą duszą nienawidzi Rosyę i od niej tylko czeka klęsk, jeśli świat nie powstrzyma jej zachłanności w pędzie. Co tam pacyfizm socyalistów? To teorya... W wojnę z Rosyą rzuciłaby się z całą mocą Szwecya, gdyby — ufała, iż ci, którzy skłaniają ją do tego dziś, nie opuściliby jej potem, pozostawiając własnym losom. By zdobyć sobie wiarę ludów, na to trzeba pracować długie lata.

Jest więc dziś nastrój w Szwecyi — półwojenny. Gorące słyszy się słowa i śmiałe czyta się w prasie odezwy. Po ulicach Sztokholmu zbrojne na wszystkie strony przeciągają oddziały i wojskowi są bohaterami chwili... gotowość do odparcia wszelkiej ingerencyi zuchwałej z zewnątrz jest zupełna. Ale nad nastrojami panują refleksye. Tymczasem jednak czuć podniecenie, i czyni ono wartkie życie Sztokholmu jeszcze ciekawszem. W kawiarniach, restauracyach, hotelach — wszędzie gorące dyskusye, wszędzie nerwowe gesty i akcenty. W cichym kraju dnem idzie jakaś burza. I jeśli minie ona, jeśli szwed wróci do swego kufla tylko i kieliszka i do pracy codziennej, zysku i wygody, jeśli sen rycerski tym razem na zawsze się prześni — będzie to w dużym stopniu wina tych, co zebranych tu prochów we właściwym czasie podpalić nie umieli... Dziś jest może zapóźno... Jest przytem jeszcze coś, co szwedom odbiera w pewnym stopniu chęć wyruszenia w pole... To szwedki... Wysmukłe, wdzięczne, zdrowe, jasne uśmiechem — mają w sobie tyle pogody, iż naprawdę okrasą życia męskiego muszą być w całej pełni.

IV.

W Anglii.

Komisya policyjna angielska, badająca podróżnych, przybywających do Newcastle, jest czemś w rodzaju inkwizycyi. Tu niema ordynarnych, głupowatych żandarmów — jak w Rosyi, jest natomiast gromada zręcznych i chytrych szpiclów, włażących do kieszeni i do duszy ofiar swych z całą czelnością. Okazanie rosyjskiego paszportu nie sprawia na nich dodatniego wrażenia; wprost przeciwnie, zdaje się detektywów angielskich oburzać. Jak śmieli ci tam rosyanie wydać komuś świadectwo, uprawniające go do przejazdu przez Anglię. Koalicyjna solidarność i współrzędność ról obu mocarstw wypływa tu na wierzch w całej pełni. Rosya jest po to, żeby dawała żołnierzy — po nic więcej. O wszystkiem innem decyduje Wielka Brytania, więc i o tem, czy paszport zagraniczny rosyjski ma jakąś wartość. Uznają go nie zawsze i niejeden już człowiek, mimo, że Rosya z wydawaniem paszportów jest niesłychanie skąpa, odjechał z Newcastle'u z powrotem, pod byle jakim pozorem nie puszczony dalej. Mnie po krzyżowym ogniu pytań, starających się przeniknąć moją przeszłość i przyszłość, moje zamiary chyba do końca życia i po rewizyi osobistej tak ścisłej, iż ściślejszą od niej była chyba druga — przy wyjeździe z An-

glii w Southampton — puszczają jakoś wreszcie. Trzęsący kab wiezie mnie przez ohydnie brudne, a zresztą ciemne miasto na dworzec. Za chwilę wpada z hukiem straszliwym, w szalonym pędzie kuryer, idący z Edynburga. Wskakuję do wagonu.

Przez pierwszych kilka chwil podróży nie mogę prawie złapać tchu. Kuryer angielski robi około 95 kilometrów na godzinę. Jest to szybkość zawrotna. Na co ona potrzebna, nie wiem, bo ostatecznie przestrzenie w Anglii nie są wielkie. Ale jest to zapewne jedna z angielskich ambicyi... Mkniemy więc, jak szaleni. — Zatrzymujemy się raz w Yorku, gdzie rezyduje arcybiskup, i zmierzamy już prosto do Londynu. Pociąg pełen wojskowych. Mimo nocnej pory, z sąsiednich przedziałów dochodzą smutne pieśni szkockie i gra na flecie. To umilają sobie podróż powracający na front. Czyni się dzień i zamiast łun fabryk przydrożnych tylko, jak dotychczas, widać w skłębionych dymach tonące przemysłowe osady. Maleńkie domki i wolne ogródki, gdzieniegdzie wieża kościoła — oto wszystko. Ani kawałka lasu, czasami nędzna grupa drzew. Miejscowość natomiast dość falista. Zdarzają się tunele. Krajobraz tak ponury, że przypomina chyba Górny Śląsk, o którym przyjaciel mój, ukrainiec, powiada, że ani żyć, ani pochowanym by tam być nie chciał... Pierwsze wrażenie sprawia Anglia fatalne... Wreszcie — King Cross, jeden z największych dworców Londynu. Spotyka mię na szczęście ktoś znajomy, do którego kablowałem z Norwegii. Inaczejbym tu przepadł od początku i nie znalazłbym nawet bagażu, na który niema kwitów, a przedewszystkiem nie dałbym rady znów wszystkim formalnościom. Jest ich tu Bóg wie ile. Meldunek w hotelu, Permit office, policya, konsulaty. Przyjechać i wydostać się stąd równie niełatwo.

Londyn wita mnie, oczywiście, deszczem i mgłą. Nie taką, jaka tu bywa w jesieni, ale wcale nie mniejszą, niż ta, którą przywykłem przeklinać w Petersburgu. Wogóle rankiem jest Londyn do Petersburga podobny. Podkreślam: *rankiem* tylko, bo potem, gdy się zaczyna wściekły ruch, Londyn ma już fizyognomię zupełnie własną. Fizyognomia to nie wesoła. — Ruch londyński nie jest krążeniem ludzi bez troski — to pęd tłumu wyrobników życiowych, którym nie wolno stracić ani chwili, to przelewanie się poniekąd ludzkich mas. Środkiem ulicy przemknie czasem w automobilu albo własnym powozie jakiś wytworny lord, wpatrzony w wdzięczną „lady" — i obaje wyglądają ładnie, odświętnie, ale to są wybrani. Ci z trotuarów inny zgoła stanowią typ. To niewolnicy walki o byt — nic więcej. Cylindry i poprawne żakiety niechaj nie łudzą was. Patrzcie na twarze. Jest w nich energia, ale i zmęczenie niezmierne. A zaś z zaułków wyłazi wszędzie nędza. O, podział bogactw jest tu, jak nigdzie, nierówny. I w wielkiej wojnie Anglia topi swojego „ludu gniew" chytrze, przezornie. Zresztą o wojnie świadczą w Londynie tylko gromady wojsk: kanadyjskich, australskich, indyjskich — widoczne wszędzie, świadczy i sporo inwalidów, spotykanych co krok.

Tempo życia, jego rozlewność, mają charakter bynajmniej nie wojenny. Obfitość wszystkiego jest tu wielka i ceny zwykłe. Lecz to nie przyszło bez wysiłków. I tu próbowano spekulacyi, cukrem naprzykład. Lecz rząd angielski jest sprężysty i ma szaloną inicyatywę. Kupił za kilka milionów funtów cukru — i stał się panem rynku. Ceny odtąd normuje on. Tak jest i w wielu innych względach. Więc braku w żadnym kierunku ani śladu. Anglik, którego na to stać, zajada tak, jak zwykł, wszystkie swoje breakfasty, lunche i obiady, pije dobrą kawę ze śmietanką rano i jeszcze lepszą herbatę o piątej. Tylko możność raczenia się whiski i porterem przez cały dzień mu odjęto. Trunki sprzedają przez kilka godzin zaledwie. I „fundować" sobie ich wzajem nie wolno. Za to jest kara bardzo wielka. Idzie o wojsko, które w ten sposób zabezpieczyć postanowiono od patryotycznych poczęstunków. Inna kara, jeszcze surowsza, grozi tym, co nie spuścili rolet wieczorem w oświetlonym pokoju. To wieczna obawa Zeppelinów. Przed temi Londyn zna już mores. Stąd noc jest tu naprawdę nocą. Ulice prawie bez światła.

Londyn nietylko je i pije do syta, ale się bawi. Restauracye, tearoomy w dzień a teatry wieczorem są pełne po brzegi. Niesłychanie popularną jest właśnie sztuka „Romans", wystawiana w teatrze lirycznym po raz coś czterechsetny... To dzieje zmarnowanej miłości, rzecz prosta... Każdy porucznik angielski i każdy przymusowy „ochotnik" prowadzi na to widowisko pouczające jakąś upartą „miss", by zobaczyła, jak to puhar kochania wychylać trzeba, póki czas. Miss jest wzruszona, płacze — i potem staje się mniej uparta podobno. O teatrze, nie wątpiłem nigdy o twej misyi społecznej!... Najchętniej jednak spędza anglik i dziś wieczory w Varieté. Tam nie potrzeba myśleć. Tam błazny biją się po twarzach, ekwilibryści wymachują koziołki, kinematograf pokazuje sceny z frontu, latarnia czarnoksięska rzuca króla Jerzego na ekran, a potem jego ciotecznego braciszka, a potem pana prezydenta Francyi — i tak aż do skutku. — Orkiestra gra co raz inny hymn, a szanowna publiczność stoi i klaszcze. Oto gdzie wylewa się zapał patryotyczny... A prawda — wylewa się on jeszcze w rozmowach o... Irlandyi. Casementa trzeba powiesić, twierdzą wszyscy. Miły jesteś, wielki narodzie żeglarzy i poskramiaczy dzikich ludów... miły i niesłychanie szlachetny. — Liczyć na twą protekcyę może chyba jakiś marzyciel wieczny. A jednak o protekcyę tę są tu zabiegi. Odbywają się zresztą z łaskawej aprobaty hr. Benckendorfa.

Często słyszę w Londynie język rosyjski. — To dawni emigranci w części, ale przeważnie robiący interesy na wojnie. Tych w Londynie, gdzie koncentruje się „kontrola" nad wydatkami i zamówieniami ujętej w kluby Rosyi — cała dzisiaj gromada. Chwalą sobie oni rozbeł angielski, ale skarżą się na zbytnią angielską „dokładność". Trafiłem też na świeże ślady p. Milukowa. Wielki to nasz wróg, bardziej niebezpieczny, bo bardziej przewrotny od innych. Zagabywano go tu o sprawę polską, pytano — kiedy i jak zrealizować myśli Rosya słynną odezwę, co da polakom? „Polacy dostaną od nas to, co Irlandya od Anglii" — oświadczył wódz liberałów rosyjskich, wiedząc, iż tem zatyka usta pytającym. Na takie „dictum" nie ma już anglik odpowiedzi. Zresztą naprawdę wzrusza go Polska tyle, co zeszłoroczny śnieg. I chyba gdyby się Anglia pokłóciła z Rosyą... wtedy, wtedy, być może, stalibyśmy się nawet modni, jak długo intryga polityczna wymagałaby tego. Dziś jesteśmy uważani za natrętów. Zrozumienia kwestyi polskiej Anglia nie zdradza. Krańcowy egoizm rodzi w polityce zwykle krótkowzroczność.

Nie będę opisywał Londynu... Byłoby to zbyteczne. Wszystko stoi tam na swojem miejscu, jak stało. I oba pałace królewskie i Bank of England i parlament i Opactwo Westminsterskie i posągi po jego smutnych niszach i British Museum, przez czas wojny zresztą zamknięte. Roi się też, jak zwykle, w Hyde Parku, nudnym, bezbarwnym — gdzie rano tylko popatrzeć jest na co, gdy odbywają spacery konne wiotkie lordówny. Lecz każdej strzeże jadący o kilka kroków za nią stajenny. Zwykły śmiertelnik niech nie podnosi oczu za wysoko. Ach i wieczorem Hyde Park ma swoje piękne chwile,

kiedy czuć, iż znajdujemy się w kraju wolności, którą wojna skrępowała tylko okropnie. Odbywają się tu po dziś dzień różne mittyngi. O ile pisać w Anglii prawdy nie można już, bo cenzura sroży się, niczem rosyjska — o tyle mówić każdy ma prawo publicznie, ile chce. Rząd rozumuje widocznie, iż słowa wiatr niesie. Co krok spotyka się więc gromadki ludzi, otaczających zaperzonego mówcę. Ten mówi o werbunku, ów o stosunkach robotniczych, inny jeszcze o roli kobiety na wojnie. Gdzieś dalej urządziła kazanie swe z koncertem Armia Zbawienia. Wszystko, jak dawniej. Pod tym względem zmian żadnych niema. Dopiero, gdy uczyni się wieczór mroczny, czuje się grozę. — Po niebie pełzać poczynają potężne słupy świetlne reflektorów. To Londyn broni się od powietrznej inwazyi.

DCN. *W. B.*

Alfred Konar. POWIEŚĆ.

KARJERY.

8

IV.

Ciotka Benisia była zegarem, a raczej ukrytą sprężyną i kluczem wielolicowego, dość skomplikowanego zegara Jędrzejewic, którym kierowała, bez zastrzeżeń, jak rządzi wojskiem niewahający się nigdy wytrawny wódz, pewny swojej nieomylności, nie ulegającej kwestyi.

A wiecznem jej zmartwieniem było, iż ten zegar Jędrzejewicki, a i wogóle sprężyna, na której obraca się cały świat — nie funkcyonuje tak prawidłowo, jakby jej ideał ładu tego wymagał. A ona nie w siłach „doprowadzić do normy wszystkiego, co wychodzi z formy". Na sztandarze jej zdawało się widnieć wyryte złotemi gwiazdami jedyne nieomylne godło zwycięstwa: Ład życiowy.

To była dewiza całego jej życia, której — według niej — powinno się składać w ofierze od kolebki do mogiły wszystkie namiętności, wszystkie mrzonki i pragnienia.

Fanatyczka kultu tego ładu życiowego, solidaryzowała tylko z ludźmi z tej swojej parafii, szerokiego, równego gościńca, bez wzgórz, przepaści i manowców.

Współczuwała ich nieszczęściom, i te jedynie czyste w jej pojęciu smutki — opłakiwała swemi czystemi łzami.

Szaleńcy zaś, wykradający się na boczne ścieżki życia, błądzący manowcami — wydawali się jej nieuleczalnymi nałogowcami, na których rady niema, skazańcami, którym ani współczuć, ani pomagać, ani nawracać nie warto, ludźmi z innej gliny, których rozumieć nie potrafiła i nie chciała.

Ciotka Benisia, pomimo despotyzmu swoich zasad, nie była wcale co się zowie herodem babą. Przeciwnie!

Nikła, drobna, o wypełzłego koloru oczach, cerze i włosach, ułomna, wydana za mąż dla karyery za bogatego starca, po którym w kilka lat po ślubie owdowiała, wzbudzała sympatyę, nawet współczucie. Może fakt ten wpłynął na urobienie jej charakteru, który od wczesnych lat borykał się z narzuconym przez naturę bez apelacyi wyrokiem jej dozgonnego kalectwa. Wiedziała doskonale, że ciemny gmin spluwa po za jej plecami, aby odżegnać się od nieszczęścia, które garbaty przy spotkaniu sprowadza. Pojęła od młodzieńczych lat, że nie będzie nigdy kochanką, żoną i matką, jak wszystkie inne kobiety. Odsuwana już w zaraniu na pensyi od tajemniczych szeptów swoich koleżanek, zwierzających się wzajemnie ze swoich młodzieńczych romansów i z otrzymywanych od kuzynków tajemniczych różowych liścików i kwiatów — zamknęła duszę swoją na cztery spusty. To ukrywane z królewską dumą zdawanie sobie sprawy z jawnej jej tragedyi i to tajne karmienie się jadem niesprawiedliwości i krzywdy, jakie wyrządziła jej natura, piętnując i usuwając ją od życia, od nadziei i od wszelkich normalnych konfliktów — zgangrenowało jej charakter: stała się przesadnie drażliwą, zaciętą i skrytą.

Ów starzec, którego zaślubiła — Tomasz Horski — przyrzekł na smutnej musowej tułaczce w pamiętnej epoce 63-go roku zrujnowanemu w czasie powstania nierozdzielnemu, wiernemu towarzyszowi swojej niedoli na obczyźnie (towarzyszem tym był ojciec ciotki Benisi, stary baron Aloizy Winter), iż zajmie się losem ułomnej córki, pozostałej w Warszawie na opłacanej nieregularnie pensyi. I dotrzymał przysięgi, danej przy łożu śmierci przyjaciela, w ten sposób, iż sierotę tę wkrótce po powrocie do ojczyzny zaślubił.

Nie pożałował tego kroku; przez kilka lat pożycia, spędzonych prawie wyłącznie na łożu nieuleczalnej po trudach życia choroby — znalazł stary Horski w swojej brzydkiej żonie pełną zaparcia się, niezmordowaną pielęgniarkę.

Wywdzięczając się jej i pamięci jej ojca, zapisał umierając znaczną część swego majątku, choć żoną jego była jedynie de nomine, a faktycznie jeno aniołem stróżem.

Jako wdowa, wydawała się niezgorzkniałą, z powodu zawiedzionych marzeń, pielęgnowanych w zaraniu życia nawet przez najtrzeźwiejszych i najskromniejszych, choćby to były najbrzydsze kobiety.

Ów ład życiowy, który stał się dogmatem jej dni, normował jej cel istnienia; a żelazny puklerz, którym do walki opancerzyła swoje serce i duszę, zdawało się, iż zdusił jej wkońcu wszystko tak, że silna, już bez zbroi, mogła wejść w szranki — pewna, że nie ma już czego przed kim bronić.

W żyłach jej płynęła po mieczu prawdopodobnie domieszka krwi teutońskiej. Protoplasta rodu baronów Winterów był zagadkowego pochodzenia; nie figurował ani w Niesieckim, ani w Paprockim: Jakiś kasztelanic, Konrad Winter, brał, według niektórych pamiętnikarzy, pospołu z wieloma innymi awanturnikami udział w orgjach warszawskich salonów z końca XVIII wieku. Podobno wychowaniec dworu Saskiego, szczycący się przyjaźnią pierwszorzędnych figur tej tak tragicznie wesołej epoki — był napół cudzoziemcem, który w późnym wieku dopiero nauczył się po polsku i, jak z pozostałych listów widać, nietylko, że źle pisał, lecz i mówił po polsku bardzo niepoprawnie.

Zdaje się, że był kuzynem czy też ulubieńcem żony późniejszego posła pruskiego, Lucchesiniego. A sądząc z niezapłaconych pozostałych po nim rachunków Teppera i Kabrita, jak również z korespondencyi z księciem Józefem (w kwestyach tajemnic buduarowych), znać, że był dworakiem pierwszej klasy i prowadził dom z pompą iście magnacką.

Ciotka Benisia nie miała ani jednego rysu wspólnego z kasztelanicem. Może ten protoplasta i chluba wyrodził się. A ciotka Benisia odziedziczyła mieszczańskie zalety jego nieznanej matki lub babki. Faktem, że nie wszyscy lubili tę ewangeliczkę, bez fantazyi, polotu, bez wdzięku, bez skazy (która zresztą nie uchodzi za wielką zasługę u kobiet garbatych), z jedynym kultem

zewnętrznej moralności, zewnętrznego ładu życiowego, z dogmatem życia „jak się patrzy".

Lecz wszyscy musieli schylać głowę przed jej pracowitością, poczuwaniem się do najróżnorodniejszego rodzaju obowiązków i przed tem jej wiecznem jakby zadaniem życiowem, zdającem się głosić:

— Jedynym celem istnienia powinno być nieustanne staranie się o trzymania za życia jeszcze od jakiegoś przemieszkującego na księżycu wydziału oschłej sprawiedliwości i formalistycznej moralności patentu na pierwszą nagrodę cnoty, pod hasłem: „Jeśli z powodu żywiołowych twoich pragnień, polotu skrzydeł i fantazyj — dusza twoja nie mieści się w zbyt ciasnym tużurku — to należy zdusić duszę, lecz nigdy nie zrzucać tużurka".

Ten ślepy, bezinteresowny kult ładu stał się doskonałym kierownikiem jej oschłego, bez polotu umysłu i letargicznego serca.

Nie posiadając bliższych krewnych, uważała za właściwe interesować się dalszą rodziną, własną i nieboszczyka męża.

Wnikała w ich życie, w ich cele, smutki i zawody. Dawała im listowne rady, zapomogi — rzecz prosta — w wypadkach, z któremi solidaryzowała. W przeciwnych razach stawiała swoje veta, bardzo lakoniczne, zimne, taktowne, lecz stanowcze, z któremi, pomimo przejściowych buntów, bardzo się liczono.

Uboższych zapraszała na letnie miesiące do Jędrzejewic, wybierając dla każdego odpowiedni czas i termin pobytu.

Nie godziła się nigdy na gości, z których jakością życia nie solidaryzowała się i których ilość nie odpowiadała trybowi ładu Jędrzejewickiego, choćby ci zgodzili się obyć bez regularnego tik-taku zegara, ustawionego na kominku w każdym gościnnym pokoju, i choćby najchętniej skwitowali ze stojącej przed każdem gościnnem łóżkiem nocnej karafki z wodą na haftowanej własnoręcznie serwetce.

Lecz wszystko dla wszystkich być musiało. I ciotka Benisia nienawidziła gościnności, która „mury rozszerza", i wyrzekłaby się raczej najczulszego gościa, niż gdyby miała go przyjąć bez serwetki pod karafką w specyalnym dla każdego urządzonym gościnnym pokoju.

Na wsi dzieci chłopskie *powinny* podczas pracy rodziców przebywać w szkółkach, a kiedy są chore — w szpitalikach; inaczej będą bez ładu wałęsały się w brudzie i demoralizowały.

W zimie chłopi *powinni* spędzać wolne chwile na jakiejś opłacającej im się pracy, a wieczory spędzać na godziwych rozrywkach; inaczej śród nędzy zdemoralizują się i rozpiją.

Z dość znacznych dochodów, pozostawionych jej przez męża w formie dożywocia na Jędrzejewicach, zakładała szkoły, szpitaliki, interesowała się przemysłem ludowym i odczytami z jedynem marzeniem, aby to wszystko szło trybem zegarkowym, z marzeniem, aby cała wieś i wszyscy jej mieszkańcy wyglądali tak, jak podług jej niemieckiej, systematycznej fantazyi — cały świat wyglądać powinien.

I źródłem jej wewnętrznej tragedyi była ta różnica pomiędzy tem, jak być powinno i jak w rzeczywistości jest.

Przedewszystkiem raził ją tryb prowadzenia gospodarstwa jędrzejewickiego podług metody z przed pół wieku, z minimalną wydajnością i z minimalnemi dochodami, wystarczającemi jedynie na łataninę i pchanie, aby dalej, lecz na żadne reformy.

Napotykała opór nie do zwalczenia w swoim wieloletnim plenipotencie panu Glebie, który uczył się gospodarstwa po skończeniu gimnazyum na dzierżawie swego ojca; a w wolnych chwilach czytywał książki, obejmujące wszystkie dziedziny z wyjątkiem agronomii, traktowanej przez niego w kulcie tradycyi, zupełnie po dyletancku.

W tym dyletantyzmie drzewa, zasadzone po potopie, nie wiadomo przez kogo — rodziły owoce, o smaku, jaki im się samym podobał. Fornal jędrzejewicki był weterynarzem; stróż nocny — ogrodnikiem; aptekarz z miasteczka — lekarzem; felczer — operatorem; mularz był architektem; samouk-krawiec — naprawiał zegary, samouk-stolarz — trudnił się ślusarką.

I boki można było zrywać z widniejącej na każdym kroku naiwności dokonywanych dyletanckich robót; z powodu łatanych śmiesznie budynków gospodarskich, dyletanckich kwietników i z dziecinnego samouctwa, widniejącego w reperacyach bramy wjazdowej, stajni, kurników i chlewów.

Te wszystkie ohydy, rażące oko wyjeżdżającej często za granicę ciotki Benisi, z któremi walczyć było ponad jej siły — zakrywała cudna natura Jędrzejewic, z pysznemi grupami drzew, niewiadomo kiedy wyrosłych, ze wzgórzami, że szmerem rzeczułki, przepływającej przez utrzymany najohydniej park, z dalekiemi prespektywami widnokręgów, podług gustu największego estety dyletanta: Stwórcy.

Ciotka Benisia nie zawsze jednak ustępowała. Jej łagodny, cichy, lecz stanowczy głos — uśmierzał despotycznie bunty najkrzykliwszych rządców, gorzelnianych i ekonomów, którzy nie w stanie czynić zadość jej gustom kulturalnym — musieli jednak uchylać czoła przed jej bożkiem ładem i przed jej życiem bez skazy. Dlatego unikali jej wybuchu najwyższego gniewu, objawiającego się w wyjątkowych razach w strasznej kobiecej zbroi, utkanej... z łez.

— Ach! Boże, Boże! Jak to wszystko wygląda w porównaniu z zachodem! Istna Serbia, Czarnogórze! — kokietowała, czując swoją siłę słabości, łzami, które nie zawsze na zawołanie jej przychodziły.

— Niech się jaśnie pani nie martwi. Wszystko się zrobi.

— Psia krew! — klęli na stronie, odchodząc — rządcowie, gorzelniani i ekonomowie — ona zawsze na swojem postawi!

Dalszy ciąg nastąpi.

HENRYK JUSZKIEWICZ.

Z PO ZA TWYCH WŁOSÓW.

Nie widzę świata z po za twych włosów
(w zaświat płyniemy na łodzi mych śnień).
Jak po dniu jasnym na toń niebiosów,
spływa na zmysły upojenia cień.
Cisza... Nie słychać nawet odgłosów
świata, co biją niby łuna zeń.

Nie czując świata bezsytnych ciosów
jego zgliszcz, zgiełku, niepokojów, wrzeń,
płyniemy z falą na łodzi mych śnień...
— Ster dałem rękom nieznanych losów —

Z po za twych włosów — pachnących włosów
Nie widzę świata...

Wiktorya Cross.

Przekład z angielskiego przez H. J. P.

Najwyższe prawo.

17

POWIEŚĆ.

Wyglądała w tej chwili tak, jak wtedy, gdy odsłoniła pierś pod pchnięcie jego noża. Dusza darła się w niej na szmaty; ale czuła, że Hamakhan będzie ją jeszcze bardziej kochał, szanował i uwielbiał, jeżeli mu każe iść za głosem obowiązku.

Lepiej, stokroć lepiej znieść najsroższe męki, niż okazać się w jego oczach małoduszną i niewdzięczną, niż kosztem niedoli lub może nawet śmierci wiernego przyjaciela okupić własne szczęście.

Była znów śmiertelnie bladą: oczy jej tonęły we łzach; ale twarz miała dziwnie spokojną i uduchowioną, jak wówczas, gdy tak pogardliwie stawiła czoło jego dzikiej wściekłości.

Hamakhan pochylił się nad nią i wziął ją w objęcia.

— Przysięgam, że wrócę niezadługo — szepnął i z religijną niemal czcią ucałował jej spłakane oczy.

Niewiele już mówili ze sobą. Dora zmusiła go, żeby się posilił, i zapakowała mu trochę niezbędnych rzeczy w mały tłumoczek. Przed samem pożegnaniem zaprowadziła go do chaty i pokazała mu ich pieniężny zapasik, schowany pod matą w dołku wyżłobionym w podłodze. Chciała koniecznie, żeby wziął wszystko, lecz Hamakhan oparł się temu.

— Nie; daj mi połowę. Jedzenia masz w domu na kilka dni, ale nie możesz zostać bez pieniędzy. Mogą ci być potrzebne.

— Napełniłem ci wszystkie bubłaki wodą — dodał tkliwie.

Dora nie mogła wymówić ani słowa. Łzy płynęły strumieniem po jej bledziuchnej twarzyczce i trzęsła się, jak liść w jego objęciach.

Wreszcie, gdy się rozstali, uklękła u furtki i przez jej ażury patrzała, jak szedł gościńcem ku stacyi, gdzie nocny pociąg miał go zawieść do Brishamgur.

Patrzała, dopóki nie zniknął w purpurowych blaskach zachodniej łuny. Nie obejrzał się ani razu. Szedł wyprostowany, stanowczym, szybkim krokiem, jak wówczas w Jungpurze, gdy odchodził od niej w tem przekonaniu, że odchodzi na zawsze.

Długo jeszcze, bardzo długo patrzała Dora na pusty gościniec, poczem zawlokła się do chaty i padłszy na tapczan obok dziecka, wybuchnęła niepohamowanym płaczem.

ROZDZIAŁ VII.

Palec przeznaczenia.

Kilka dni minęło i Dora była wciąż samą. Co rano stara kobieta z poblizkiej chaty przychodziła z dzbankiem świeżego, koziego mleka i rozmawiała z nią trochę przez furtkę. Hamakhan przed odjazdem umówił się o to mleko ze starowiną i zapłacił jej naprzód.

Dora była zawsze szczelnie zakwefiona; nikt nigdy jej twarzy nie widział, a pofarbowane na oliwkowo ręce w szklanych bransoletkach również zdradzić jej nie mogły, gdy je wyciągała po naczynie.

Stara indyanka ogromnie polubiła dziecko, które z dniem każdym ku wielkiej radości Dory stawało się podobniejszem do Hamakhana, i zawsze prosiła Dorę, żeby je przyniosła do furtki i nigdy dość napieścić się z niem nie mogła.

Obie kobiety gawędziły nieraz dosyć długo i stara ani przypuścić mogła, jaka olbrzymia przepaść leżała pomiędzy niemi. Pochodziła z Peshawuru i chętnie opowiadała Dorze o pathańczykach i ich obyczajach.

Minęło cztery dni. Nadeszła noc bardzo parna, cicha i bezksiężycowa. Dora zapaliła lampę i usiadłszy w chacie karmiła dziecko. Wszystko było gotowe na przyjęcie Hamakhana; wieczerza przyrządzona, węgle rozżarzone i paru tylko poruszeń wachlarza potrzebujące, by jasnym płomieniem wybuchnąć; chata czyściutko uprzątnięta.

Dora siedziała na ziemi, słuchając machinalnie brzęczenia moskitów w nocnej ciszy i myśląc, jak dziwno jej będzie powrócić znów do cywilizowanego życia, co już tak wprędce nastąpić miało.

W tych dniach właśnie przypadały jej urodziny; kończyła dwadzieścia jeden lat. Jak się ukształtuje ta jej przyszłość tak wyjątkową, niezwykłą przeszłością poprzedzona?

Dziecko usnęło dawno i ciężyło jej na ręku, ale ona nie czuła tego, pogrążona w myślach. Nagle jakaś dłoń zachrobotała furtką. Dora drgnęła; fala radosnego oczekiwania zalała jej duszę. Nie; słuch ją nie myli. To on!

Zerwała się, jak podrzucona sprężyną; złożyła dziecko na posłanie i skoczyła ku wejściu.

— Bibi! — dał się słyszeć z zewnątrz głos pathańczyka.

Odsunęła zasuwę i Hamakhan wszedł do chaty. Niósł spory worek, który rzucił w kąt i wyciągnął do niej ramiona. Dora wpadła w nie z okrzykiem i czas jakiś trwali w uścisku, niezdolni przemówić słowa z nadmiaru szczęścia. Jej zdawało się, że nie potrafi już oderwać się od tej ukochanej piersi; a on całował zapamiętale jej oczy, usta, twarz i szyję, tuląc ją do gwałtownie bijącego serca.

— Pójdź, pójdź do światła — rzekła wreszcie Dora i pociągnęła go do tylnej izdebki, gdzie lampa wisiała na ścianie.

Hamakhan zamknął drzwi, założył zasuwę, poczem usiadł na ziemi pod lampą i uśmiechnął się. Dora usiadła także naprzeciwko niego z podwiniętemi nogami.

— Gdzieś był cały ten czas? Ja tak szalenie tęskniłam! — rzekła, wpatrując się w tę najdroższą twarz, której widok napawał ją zawsze jednakową niewysłowioną rozkoszą i zachwytem.

— Powiem ci kiedyindziej. Jestem bardzo zmęczony — odparł Hamakhan wymijająco, opuszczając ręce na podłogę ruchem bezgranicznego wyczerpania.

— Może ci się chce jeść? Możeś głodny? — zapytała Dora, nie spuszczając z niego oczu. Teraz dopiero, ochłonąwszy z pierwszego wrażenia, zauważyła, że schudł, a jego czarne oczy gorzały jakimś nienaturalnym blaskiem.

— Co ci dać?

— Nic — odpowiedział Hamakhan. — Nie będę ani pił, ani jadł. Nadłożyłem drogi tylko dlatego, aby cię zobaczyć i — urwał nagle, i obejmując ją w pół, dodał tkliwie:

— Niczego mi nie trzeba prócz ciebie.

Dora nie zauważyła, czy nie zrozumiała tego, co mówił o nadłożeniu drogi. Była jak odurzona szczęściem jego powrotu. Każda żyłka, każdy nerw dygotał w niej jak napięta do ostatecznych granic struna. Jutro rozpyta go wszystko. Dziś wie tylko, że go ma przy sobie, że powrócił. I przymykając zlekka oczy, utonęła całem swem jestestwem w miłosnem upojeniu.

Tej nocy Dora długo zasnąć nie mogła. Godziny mijały, a ona leżała z otwartemi oczyma, rozkoszując się myślą o tem wielkiem szczęściu, jakie stało się jej udziałem, szczęściu kochania tak, jak ona kochała, i bycia kochaną tak, jak ten człowiek ją

kochał. W końcu jednak znużenie wzięło górę i usnęła twardo.

Ale po godzinie zbudziła się nagle i z przestrachem zobaczyła, że jest samą. Lampa paliła się na ścianie; dziecko zwinięte w kłębuszek spało w jej nogach; ale Hamakhana nie było. Zerwała się z posłania, zdjęta jakiemś okropnem przeczuciem, i rozsunąwszy zasłonę dzielącą chatę na dwie części, zajrzała do drugiej izby. Nie! Bogu dzięki! nie poszedł nigdzie, jak się tego przez chwilę lękała. Siedział na ziemi plecami ku niej zwrócony w ten sposób jednak, że mogła widzieć jego profil i czemuś się z uwagą przyglądał.

Dora odetchnęła z uczuciem niewysłowionej ulgi i już chciała przemówić do niego, gdy jakiś dziwny, ciemny przedmiot zwieszający mu się z podniesionego w górę kolana zwrócił jej uwagę

Wytężyła wzrok. Zrazu sądziła, że ją oczy mylą... Bo skąd?... Ale nie... widzi dobrze... to jest... to jest długi kosmyk czarnych włosów, sięgający aż ziemi. W pierwszej chwili widok ten nic jej nie powiedział... nie nasunął żadnego przypuszczenia.

Zdziwiła się tylko ogromnie i zaciekawiona rozsunęła lepiej zasłonę i pochyliła się ku przodowi, by lepiej zobaczyć, co takiego Hamakhan trzyma pomiędzy kolanami, a w tej samej chwili on zlekka opuścił kolana i przedmiot ów stał się nagle widocznym.

Dora nie krzyknęła, nie uczyniła najlżejszego poruszenia; nawet źrenice jej stężały, jakby skamieniałe.

Hamakhan trzymał w obu dłoniach ludzką głowę, której długie, czarne włosy spływały mu po udzie, a zakrwawiona, poszarpana szyja leżała na jego białych, płóciennych spodniach.

Światło lampy padało na twarz, którą Hamakhan rękę we włosy zanurzywszy zwrócił ku sobie. Ze swego miejsca Dora mogła ją widzieć dokładnie. Była sino-zielona z oczyma szeroko rozwartemi i wyszczerzonemi zębami.

Pathańczyk wpatrywał się w nią w głębokiem zamyśleniu.

Dora czując, że jej się w głowie miesza, odwróciła oczy od tego okropnego widoku, spojrzała na męża i ostatnia iskierka nadziei zgasła w jej sercu. Nie wątpiła już, że to on był mordercą; takim wyrazem bezlitosnego okrucieństwa tchnęły te piękne rysy, teraz jakby przeobrażone. Był że to on? jej ukochany? jej wszystko na tym świecie, on — ten zakamieniały zbrodniarz, boć na takiego wyglądał w tej chwili.

Po paru minutach Hamakhan położył głowę na ziemi, wstał i zbliżył się do leżącego w kącie worka.

Dora, wciąż milcząca i nieporuszona — bo wszystkie władze, oprócz jednego wzroku, jakby w niej zamarły — śledziła za nim z zapartym oddechem, z wpół otwartemi, zbielałemi usty.

Hamakhan, nie spojrzawszy w jej stronę, przyciągnął worek do miejsca, gdzie leżała odcięta głowa i, usiadłszy, zawinął rękaw po pachę, zanurzył rękę w worek i wydobył drugą głowę, jeszcze okropniejszą, bo cała twarz była zakrwawiona i okryta ranami.

Hamakhan trzymając ją za włosy i za ucho spojrzał na nią obojętnie i położył obok pierwszej, poczem sięgnął znów do worka i wydobył trzecią głowę. Tę trzymał za skórę szyi, tak, że twarz zwiesiła się ku dołowi, blada, młodzieńcza twarz z zamkniętemi oczyma, napiętnowana wielkim spokojem śmierci.

Dorze wydało się, że coś jej w mózgu pękło, że skona z tego uczucia zgrozy, które rozsadzało jej piersi, że chata zawali się i przygniecie ich oboje. Ale nie; cisza panowała dokoła jaknajgłębsza, przerywana jedynie równym oddechem śpiącego dziecka, a Hamakhan siedział wciąż bez ruchu, wpatrzony w tę ostatnią głowę.

Dwie pierwsze należały niewątpliwie do mężczyzn; ale ta mogła być równie dobrze głową kobiety, jak młodziutkiego chłopca i widocznie bardziej, niż tamte dwie, interesowała Hamakhana.

Trzymał ją w obu rękach, wpatrując się z nią z tą samą chłodną, nieubłaganą drapieżnością. I Dorze przypomniało się nagle to, co ojciec jej kiedyś powiedział o pathańczykach:

— Wspaniałe typy ale dyabły wcielone.

Byłże to istotnie ten sam łagodny, piękny młodzieńczyk, który siadywał na podłodze tam w ich willi w Jungpurze i cierpliwie plótł maty, rozmawiając z nią całemi godzinami?

Nagle Hamakhan, jakby uczuwszy jej wzrok na sobie, odwrócił się szybko, podniósł głowę i spojrzenia ich spotkały się.

W oczach Dory malował się najwyższy wstręt, najwyższa zgroza, potępienie bezwzględne. Wpół leżąc na posłaniu, jedną ręką wspierała się na łokciu, drugą podtrzymywała fałdy zasłony, a jej śmiertelnie blada twarzyczka wydawała się jeszcze bledszą w obramowaniu błękitnych draperyi.

Hamakhan zerwał się z miejsca, wypuszczając z rąk głowę, która potoczyła się po ziemi, i postąpił ku Dorze. Ale spostrzegł plamy krwi na rękach i odzieży i zatrzymał się raptem. Twarz złagodniała mu dziwnie w jednej chwili i Dora to zauważyła.

— *Tu?* (Ty) — szepnęła zdławionym głosem i urwała, jednego słowa więcej nie mogąc wykrztusić. Hamakhan nie odpowiedział zrazu, a Dora doznała takiego zawrotu głowy i takie ją ogarnęło osłabienie, jakgdyby lada chwila miała zemdleć. Opanowała się jednak, zaś Hamakhan w tej samej chwili, na nic już nie zważając, porwał ją w objęcia i z ustami przy jej ustach począł szeptać zdyszanym głosem:

— To są wszystko hindusi, więc cóż to szkodzi? W Peshawurze muzułmani zabiją każdego hindusa, niechby się tylko pokazał. Zabić hindusa to nic złego.

Dla Dory, obdarzonej wyjątkowo tkliwą naturą i życzliwie dla każdej żyjącej istoty usposobionej, nie było wstrętniejszego występku nad okrucieństwo.

To też po raz pierwszy w życiu odtrąciła Hamakhana od siebie i kładąc mu rękę na ustach, by się od jego pocałunków uchronić, zawołała z uniesieniem:

— To straszne! ohydne! A religia, która podobne rzeczy nakazuje, jest haniebną!

Gniew błysnął w oczach pathańczyka, a rysy stężały nagle.

— Może i mnie zabije także — pomyślała Dora, lecz było jej to obojętnem, boć co najgorszego stać się mogło, to się już stało, i w gruncie rzeczy już ją tak dobrze, jak zabił.

Ale gniew Hamakhana zgasł momentalnie. Chodziło mu jedynie o to, aby ją przejednać. Dora leżała na tapczanie, jak oszołomiona, nie słuchając jego tłómaczeń. Tętna rozsadzały jej skronie, w głowie szumiało.

Hamakhan, mylnie tłómacząc sobie jej milczenie, puścił ją i usiadł obok niej na tapczanie. Dora również dźwignęła się na łokciu i tak siedzieli obok siebie czas jakiś w milczeniu a trzy sine, zakrwawione głowy leżały przed nimi na podłodze. Wreszcie Hamakhan spojrzał na Dorę bojaźliwie i rzekł:

— Nie kochasz mnie już.

Dora podniosła na niego przepełnione bólem i zgrozą oczy.

— Póki życia kochać cię będę ale to, co uczyniłeś, jest ohydne!

— Ja?... Ja nic nie uczyniłem Ja...

Zawahał się i umilkł. W głosie jego drżała bolesna uraza, jak zwykle, gdy widział, że mu nie wierzy lub nie ufa.

Uczucie bezmiernej ulgi przeniknęło Dorę. Pojęła, że na dnie te

okropności kryje się jakaś tajemnica, której on jej powierzyć nie chce. Padła na kolana przed nim i na nic już nie bacząc, chwyciła jego zakrwawione ręce.

— Powiedz mi! Powiedz mi wszystko! — szepnęła błagalnie. — Ja cię tak kocham! Życiebym za ciebie oddała; musisz mi powiedzieć, co to znaczy; może będę ci mogła dopomódz!

Pathańczyk uwolnił prawą rękę z ujęcia Dory i położył jej na ramieniu, odsuwając ją zlekka od siebie; poczem wpatrzył się w nią przenikliwie.

— To nie moja sprawa. To sprawa mego *bhai* (przyjaciela) i mnie nie wolno go zdradzić. Ani tobie również. Rozumiesz?

— Tak — odrzekła z pewną pogardą — anglicy nie zwykli także zdradzać swoich przyjaciół.

— Usiądź tu, opowiem ci—rzekł, podnosząc ją i sadzając obok siebie. Poczem tak mówił dalej:

— Wiesz, że pojechałem zobaczyć się z Gaidą. Zastałem go chorego. Złamał nogę, idąc z Brishamgur do Lalpury, z *tymi!*

Przy tych słowach wskazał na trzy głowy. Dora spojrzała mimowoli i wzdrygnęła się.

— Gaida powiedział mi, iż przysiągł zanieść komuś do Lalpuru te głowy, na pewien oznaczony dzień, a ponieważ nie mógł tego uczynić, więc prosił mnie, aby go w tem zastąpić.

Umilkł i pogrążył się w myślach.

— Ale dlaczego *ty?* — zawołała Dora namiętnie z twarzą pobladłą z gniewu i zaiskrzonemi oczyma. — Dlaczego *ty?*

— Jestem jego *bhai* — odparł Hamakhan z prostotą.

— I poświęciłeś siebie, poświęciłeś mnie dla niego! — wykrzyknęła, miotana gniewem, zgrozą i trwogą o ich oboje. W głosie jej dźwięczała jakaś obca nuta, której pathańczyk nigdy w niej dotąd nie słyszał. Wstrząsnął głową przecząco i przytulił Dorę do piersi.

— Nie! nie! Ja cię tak kocham! Ja cię ogromnie kocham, życie mego serca!

— A jednak poświęciłeś mnie— powtórzyła Dora z naciskiem. — Wiesz dobrze, że życie moje jest związane z twojem; narażając siebie narażasz tem samem i mnie. Jak mogłeś brać czyjąś zbrodnię na swoją odpowiedzialność? Twoje życie do mnie należy.

— Tu niema zbrodni — rzekł Pathhańczyk dumnie. — To nie są muzułmanie; to są hindusi i to był czyn zemsty. Ci ludzie skrzywdzili muzułmanina, który nie mógł dać sobie z nimi rady. Ale jego przyjaciele poprzysięgli go pomścić i los padł na Gaidę. Byłby poszedł do Lalpuru i wszystko byłoby się załatwiło pomyślnie, gdyby nie ten fatalny wypadek z nogą.

— Hindusi czy muzułmanie to wszystko jedno i taki mord jest zbrodnią w obliczu angielskiego prawa! Och! czemu wdawałeś się w tę nieszczęsną sprawę, skoro cię to nic nie obchodzi.

— Gaida jest moim *bhai* — powtórzył Hamakhan, aczkolwiek rozpacz drgająca w głosie i rysach Dory wstrząsnęła nim do głębi. — On byłby to samo bez wahania dla mnie uczynił. Przysięgi dotrzymać trzeba.

— Ale to straszne, to okropne dla mnie — odrzekła Dora zbielałemi usty.

Pathańczyk popatrzył na nią w milczeniu, poczem roztwierając ramiona rzekł z nagłym wybuchem:

— Widzę teraz, żem źle postąpił. Żałuję tego, ale co było robić. Gdy przyjaciel żąda pomocy w nieszczęściu, jakże mu odmówić?... U nas tego niema.... My wszyscy za sobą trzymamy... Mimo to byłbym odmówił... przez wzgląd na ciebie... gdybym się był zastanowił.

Wobec tej jego skruchy i smutku, jakim oblekła się jego piękna twarz, wymówki zamarły na ustach Dory. Łzy napełniały jej oczy. Spojrzała na niego z żalem, lecz łagodnie.

— Więc odwieź je zaraz Gaidzie i powiedz, że nie możesz tego uczynić — szepnęła, a promyk nadziei rozświetlił jej zmącony mózg.

— Chciałbym... ale nie mogę. Przysiągłem — odpowiedział Hamakhan ledwo dosłyszalnym głosem.

— Czyż ta przysięga o tyle więcej znaczy dla ciebie, niż moje żądanie?

Hamakhan uśmiechnął się blado.

— A czemże było moje żądanie dla ciebie, gdy przyrzekłaś oddać pieniądze Geizai'emu? — zapytał.

Śmiertelnie blada twarz Dory spłonęła nagłym rumieńcem pod jego nieugiętym wzrokiem, a on ciągnął dalej spokojnie:

— Życie twoje należy do mnie, a naraziłaś je wtedy; moje życie należy do ciebie, a jam je teraz naraził. Niema w tem żadnej różnicy. Przysięga jest przysięgą. Jednakże żałuję, że się tak stało. Powinienem był odmówić; powinienem był zastanowić się.

I z temi słowy wyciągnął prawą rękę do Dory, a ona chwyciła ją i ucałowała.

Ach! jakiż ciężar spadł jej z piersi, teraz, gdy się dowiedziała, że ta ręka nie popełniła morderstwa! Hamakhan był niewinny i mogli oboje przemyśliwać z czystem sumieniem nad sposobami wyplątania się z tej fatalnej gmatwaniny. Ta myśl rozbudziła jej zwykłą energię i siłę woli. Siadła znów obok Hamakhana i położyła mu rękę na ramieniu.

— Cóż zamierzasz uczynić teraz? — spytała. — Wiesz, że gdyby władze odkryły — —

Nie mogła nic więcej wykrztusić; słowa uwięzły jej w gardle.

— Wiem; to śmierć — odparł Hamakhan niedbale. — Ale nie zdaje mi się. Zamierzałem iść prosto do Lalpuru i oddać to tam, gdzie potrzeba, a potem dopiero wrócić, ale — — i tu zwrócił na nią pełne miłosnej żądzy spojrzenie — ale porwała mnie taka tęsknota za tobą, że nadłożyłem kawał drogi, aby cię tylko zobaczyć, a przytem, któż może wiedzieć, jeżeli mi zły los sądzony, mogę już więcej z Lalpuru nie wrócić: Ale teraz iść mi trzeba jaknajprędzej, bo już się psuć zaczynają.

Istotnie ohydna woń rozkładu zapowietrzyła już i tak duszną atmosferę chaty.

— Coś mnie podkusiło, żeby obejrzeć te głowy — ciągnął dalej Hamakhan z żalem — i przeklinam tę złą chwilę. Gdyby nie to, byłbym poszedł, nimbyś się obudziła, i wszystko byłoby dobrze. A teraz...

Zwiesił głowę i zadumał się ponuro.

— A teraz, nie czas rozmyślać nad tem, co się stało i odstać się nie może, teraz trzeba działać, nie tracąc ani chwili — rzekła Dora stanowczo.

Zapomniała o wszystkiem wobec niebezpieczeństwa grożącego ukochanemu człowiekowi i myślała jedynie o tem, jakby go ocalić.

Bo wychowana w obliczu prawa, tej najbezwzględniejszej z ziemskich potęg, zdawała sobie jasno sprawę z położenia, i czuła, że cień śmierci zawisł już nad nim, że ten nierozważny czyn, w imię przyjaźni podjęty, wytrącił go z pod opieki społecznych urządzeń i że go mogła uważać za straconego.

Nie śmiała zastanawiać się nad tem, by nie oszaleć.

— Posłuchaj, Hamakhanie—rzekła, siląc się na pozorny spokój — skoro się tak rzeczy mają, ja tu pozostać nie mogę i nie wiedzieć, co się z tobą dzieje. Nie wytrzymałabym w tej niepewności. Musisz mnie zabrać ze sobą. Jestem zdrowa, silna, mogę dużo chodzić i niczego się nie boję. Więc weź mnie z sobą. Kto wie, na co ci się przydam.

Dalszy ciąg nastąpi.

Wydawnictwa Gwiazdkowe.

Wojenna gwiazdka wydawnicza nie może tak jasno świecić, jak w czasach pokoju. I nawet naturalnem zdawać się mogło, że w miarę, jak huk armat zagłuszać będzie wszelkie inne, bezpośrednio z nim nie związane objawy społecznego ruchu, stopniowe blednięcie tych pogodnych, radosnych promieni doprowadzi do zupełnego ich zgaśnięcia.

Tymczasem stało się przeciwnie. W tym trzecim roku wojny plon gwiazdkowy znacznie obfitszym jest, niż zeszłoroczny.

Fakt ten znamienny i pocieszający świadczy wymownie, jak dalece energia ludzka jest niespożyta i jak sama siebie nie docenia. Oto, pomimo bajecznych cen papieru, braku farb i innych artykułów technicznych, firma Gebethnera i Wolffa stanęła do apelu z sześcioma książkami, z których pięć grubych, starannie wydanych, ilustrowanych, a szósta wprost wykwintna, zgoła przedwojenną edycya. I, co najdziwniejsza, ceny umiarkowane! Ha! wydawcy wiedzą, że to nie cukier i nie słonina!... Bo, gdyby książka mogła rywalizować z cukrem i ze słoniną, to coby wtedy kosztował taki *„Złoty Pierścień"* Zofii Urbanowskiej, ze swą bogatą okładką i tak hojnie ozdobiony subtelnemi ilustracyami Norblina, którego ołówek tyle oryginalnego wdzięku i finezyi posiada. (Cena rb. 1.80). Co się tycze treści, przeznaczonej dla starszych dzieci, to jej fantastyczny temat nie mógł zabłysnąć jakiemiś nowemi barwami pod nawskroś realistycznem piórem zasłużonej autorki „Księżniczki". Zresztą, w świecie fantazyi do dziecięcych umysłów przystosowanym ogromnie o tę nowość trudno. Życie rzeczywiste wciąż się bogaci; fantazya... o ile z prząśnicy wynalazków wątka nie snuje, a obraca się jedynie w kole czarów i nadprzyrodzonych zjawisk, prawie że go od czasów Sheherezady nie rozszerzyła. Jeden Andersen dorzucił do Sezamowych skarbów niezrównane, własne brylanty swej genialnej wyobraźni, a po nim może Selma Lagerloff. Zresztą... wszystko to już było. Lecz jeżeli motywy, jakiemi autorka operuje w *„Złotym Pierścieniu"*, nie błyszczą oryginalnością, to ubóstwo to wynagradza piękna forma opowiadania, jasny, czysty język i w każdem niemal zdaniu zawarta jakaś myśl szlachetna i pouczająca.

„Czarodziejski Okręt" p. Umińskiego, przeznaczony dla dorastającej młodzieży, przypadkowo tę samą głosi prawdę, co *„Złoty Pierścień"*, że nadmiar pomyślności i zaspakajanie wszystkich pragnień wytwarza niezadowolenie i przesyt. Znany popularyzator wplótł w opowieść o zachciance miliarderki Alicyi Gladstone sporą garść wiadomości z dziedziny najnowszych odkryć i wynalazków.

Mniej szczęśliwym był pomysł p. Umińskiego w przyswojeniu literaturze młodocianej *„Leśnego Wędrowca"*. Zawiła, przeładowana mordami, okrucieństwami i nikczemnościami intryga nuży i spycha na bardzo daleki plan egzotyczne tło puszcz południowej Ameryki, na którem się rozgrywa, a o którego przebogatej charakterystyce znacznie więcej dałoby się powiedzieć.

Natomiast *„Wielkie Łowy"* Dygasińskiego są wyśmienitym pokarmem dla tak chciwych niezwykłych wrażeń umysłów młodzieńczych. Nieodżałowany znawca świata zwierzęcego nie miał, oczywiście, możności czynienia własnych spostrzeżeń nad obyczajami i... psychiką, jeżeli tak to określić można, lwa, hippopotama, strusia i innych dzikich mieszkańców dżungli i puszcz; ale intuicya, ta nieodłączna towarzyszka każdego szczerego talentu, dopomogła mu zrobić trafny wybór w opowiadaniach podróżników-myśliwców. A że w każdym polskim chłopcu gra żyłka myśliwska, więc *„Wielkie Łowy"* mogą liczyć na zapalonych czytelników.

„Balonem do Bieguna", to pełne przygód niezwykłych i wplecionych zręcznie wiadomości naukowych opowiadanie p. Stanisława Sierosławskiego, z jakiegoś nadziemskiego źródła zaczerpnięte. Przyswoiciel (bo nie mamy nazwy na to pojęcie pośrednie pomiędzy autorem a tłómaczem) bohatera powieści uczynił *adusum delphini* francuskim oficerem, synem polskiego emigranta, a jego siostrę stryjeczną prosto z Polski przybyłą dzieweczką, co daje mu sposobność częstego potrącania w tych polarnych strefach o strunę patryotycznych uczuć.

Tą nutą, jak sam tytuł *„Młodzi Legioniści"* wskazuje, rozbrzmiewa w pełni powieść St. Ostrowskiego. Ci dwaj chłopcy, Jurek i Krzyś, wymykający się z Konwiktu Pijarów, by, przewędrowawszy w trudach i niedostatku Europę, połączyć się pod włoskiem niebem z legionami Dąbrowskiego, ta jeszcze przed paru laty jedynie wizya niepowrotnej przeszłości, jacyż dziś oni rzeczywiście, jak blizcy!... Ich zapał, cel, bohaterstwo z legendy wskrzesnęły w czyn; 1-szego grudnia witaliśmy tysiące takich Jurków i Krzysiów, o tyle od tamtych szczęśliwszych, że nie na obczyźnie i tułaczce, lecz na własnej ziemi mogą nieść Ojczyźnie daninę swej wiośnianej młodości i krwi. Książka to zatem ogromnie na dobie i napisana z właściwym Ostrowskiemu żołnierskim animuszem i rozmachem.

„Waterloo" p. Zuzanny Morawskiej, to luźne echa z ilustracyi dwóch lat poprzedzających ostateczny upadek Napoleona. Przesuwają się tu dosyć chaotycznie postacie Staszyca, cesarza Aleksandra I-go, Maeternicha, pani Kreidenes i wreszcie samego Napoleona, do którego autorka żywi wyraźną niechęć, tak dalece, że niemal zgoła niepotrzebnie wplotła w tok opowiadania brutalną scenę kłótni pomiędzy nim a jego siostrą Pauliną. Cokolwiekbądź dałoby się powiedzieć o stosunku Napoleona do Polski, nie można zapominać, że był on jednym z największych geniuszów, jakich wydała ludzkość i, że karlenie takich olbrzymów przez wywlekanie na jaw ich śmiesznostek i wad, jest zadaniem zawsze niewdzięcznem, a gdy chodzi o młodzież, i nie pedagogicznem w dodatku.

*

* *

Towarzystwo Wydawnicze (p. Jakób Mordkowicz) nie pozostało w tyle za przodującą u nas firmą Gebethnera i Wolffa, i także sześć książek w upominku gwiazdkowym przynosi. Nie są to, oczywiście, owe wspaniałe, najpyszniejszym zagranicznym wydawnictwom nie ustępujące edycye, które na rynku księgarskim uczyniły nazwisko p. Mortkowicza jednoznacznikiem wytworności i smaku; co tylko jednak można było w zakresie dzisiejszych warunków osiągnąć, tego nie zaniedbał troskliwy wydawca, by ubrać te książki w najponętniejszą i sharmonizowaną z treścią szatę.

Oto *„Przygody Magdusi"* p. Benedykta Hertza dla dziewczątek i *„Jak to na Wojence"* Edwarda Słońskiego dla chłopczyków, proste, wdzięczne i doskonale do poziomu umysłowości naszych malusińskich przystosowane powiastki. Cięte pióro znanego satyryka, dotykając Magdusinej duszyczki, stało się dziwnie miękkiem i subtelnem, a choć się tu nic nie mówi o wojnie, to owo pragnienie bohaterstwa, rozpierające pierś dziewczynki, jest jakby wyczuciem krążących już w powietrzu ofiarnych porywów, jakie huk armat miał zbudzić do życia. Za to mały Jurek Słońskiego pławi się cały w atmosferze „wojenki". Muzyka dział, rozbrzmiewająca dokoła Hulanickiego dworu, kołysze go do snu i zsyła mu wizye walk i zwycięstw. Poeta pisał te kartki i słońce poezyi je ozłaca.

Z barwnych i umiejętnie wybranych kamyków składa się mozajka zbiorowej książki dla młodzieży: *„W pamiętnym Roku Wojny"*. Są tu pomiędzy innemi obrazki kreślone przez samych uczestników tej niesłychanej w dziejach tragedyi narodów, a wiadomo, że wśród naszych legionistów są tacy, którzy równie dzielnie władają piórem, jak szablą.

Brak miejsca, niestety, pozwala mi jedynie wymienić tytuły tych książek, które stanowią najcenniejszy plon tegorocznej gwiazdki: *„Dzieje Polski Niepodległej"*, *„Dzieje Porozbiorowe Narodu Polskiego"* i *„Powstanie Styczniowe"* J. Grabca. Zresztą te wartościowe prace tak sumiennego i uzdolnionego popularyzatora, jakim jest J. Grabiec, zasługują na specyalną ocenę.

I o dorosłych pamiętało Towarzystwo Wydawnicze. Z umiłowaniem i głębokiem znawstwem napisane dzieło Wincentego Trojanowskiego: „Malarstwo Włoskie", bogato ozdobione licznemi reprodukcyami arcydzieł mistrzów włoskich, poczynając od Giotta a kończąc na Tycyanie, może się stać ozdobą każdej artystycznej biblioteki.

Hajota.

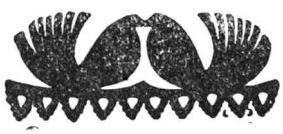

Za pozwoleniem niemieckiej cenzury wojennej.

Klisze i druk wykonane w Zakładach Graficznych Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ow

K.U.L.